

Serce obudziło się dzisiejszego wieczora. Całkiem nagie, odarte z resztek czułości i podstępnej wiary. Pannie Boże, czy wraz z jutrzejszym oddechem wykrystalizuje się najczulszy o Tobie sen? Czy będzie mi dane się przekonać, jak wiele znaczy nienawiść we współczesnej prawdzie? Czy zrozumiem, ile trzeba zobaczyć, żeby nie oślepnąć? Z braku ciekawszego zajęcia, wstałam o trzeciej nad ranem, aby przyjrzeć się walce zmysłów. Kiedy już zdołam się przekonać, ile kosztuje bochenek plastikowego chleba, odwrócę się plecami do słońca, aby dokładniej widzieć swój cień, tego syna marnotrawnego. Zagarnia mnie fala wysłużonego sumienia, pochłania noc, której ktoś wykradł całą kolekcję gwiazd.

Szkaradne jest piętno, które zostawiło Twoje pióro na moich wargach, tak do bólu łaknących odrobiny nieplanowanego pocałunku, którego nikt nie może mi wypożyczyć. Rozchyłam powieki, nieco szerzej, aby przyjrzeć się cierpieniu wymalowanemu na trójkątnej, brodatej twarzy Lucyfera. Lucyferze, kto zgasił Twoje światło? Dlaczego płaczesz, choć Bóg zanosi się śmiechem? Ciężkie są Twoje łyzy, Zagubiony Aniele. Cięższe od prawdy, do której nas się przyzwyczajają.

Nie widzę światła, choć patrzę prosto w oczy słońca. Nie widzę cienia, chociaż zgasła ostatnia nadzieja. Zanim zaprowadzisz mnie na urwisko świata, ucałuj – choć przypadkiem – sine delty żył na spragnionych nadgarstkach. Chcę – choć przez ciszę – poczuć ciepły ból, ból niemal wrzący od przesytu tych samych marzeń, które jątrzyłam przed pojawieniem się świata. Dziś, nie mając innego wyjścia, klęczę przed witrażem utkany z czarno-białej tęczy, klęczę i proszę, aby moje serce przeszył choć jeden zagubiony promień księżycy, choć jedna sadystyczna fantazja. Zanim wrócę do domu, do mojego cudnego piedestału, na którym zwykłam się wylegiwać, by poskładać marzenia, moje złudzenia ruszą osobnym poboczem, poboczem nasyconym wczesnojesienną krwią, poboczem obok drogi do prowincjonalnego piekła.

Ból, tak przyjazny, dzisiejszej nocy stoi na warcie. Sto i patrzy w pochmurne oczy nieba, nie mogąc uwierzyć, że przytrafiło to się właśnie mu. Przerwana lekcja muzyki – pamiętam tę porę, kiedy moje skrzydła odmówiły posłuszeństwa. Pamiętam, jak krystaliczne sklepienie rozprysło się na kawałki łez. Odkąd życie pozbawiło mnie mowy, staram się mówić językiem aniołów. Jestem głodna, wyposzczona przez tysiące suchych lat, spragniona chleba i wina. Zabłąkana nocy, odkąd cię utraciłam, dlaczego nie potrafisz obudzić się z tego milczenia? Dlaczego wciąż jesteś obecna, mimo że zgasł ostatni w tej historii uśmiech?

Pijani prorocy śpią, ptaki odkleiły się od nieba i runęły prosto w Twoje usta. Brzydko, jakże brzydko pachną nowo narodzone marzenia; jakże nieładnie wyglądasz w tym znoszonym uśmiechu, w tych niebieskich oczach, w tych ustach jak korale. Znów uczysz mnie snów; udowadniasz, że potrafię latać, mimo ciężącego ku ziemi serca, mimo wzdętych boleśnie płuc. Ja chciałabym tylko choć raz się obudzić, choć raz zobaczyć Cię w moim zwierciadle. Stoję w oknie, przytykając dłoń do lodowatej szyby, podglądam, jak znów rodzi się świat; jak znów dźwigam się z martwych, by zobaczyć na Twoich policzkach odcisk myśli. Samowolne sny, jak zwykle zdane na Twoją obecność, pomagają mi targać wyłuskane spod powiek urojenia; przywidzenia, które czekają w szafie na swoją kolej. A kolej, jak to pociąg zbyt pośpieszny, wykoleiła się przed zamierzoną stacją. Pomyślałam, żeby poczekać na kolejną, ale odwołano niespodziewanie wszystkie kursy.

Znów urodziłam się w kolebce Twoich rąk, dłoni tak przepastnych, że mogłyby objąć cały mój świat, całą moją wieczność. I wiem – niestety – mój cień nigdy nie dogoni iskierki w Twoim spojrzeniu, którego nie umiesz mi zadedykować, którego mi nie podarujesz w ramach ostatniego życzenia. Światło poranka, tak

niewierne gwiazdom, chciałoby wtargnąć na postument Twojego ukrytego przede mną ciała, porzucić resztkę wiary i udowodnić, że również potrafi żyć, również pragnie umrzeć. Opustoszałe są tutejsze archipelagi, огоłocone z ostatniego człowieka. Umieram z braku nienawiści, piszę list otwarty do Kaina. Próbuję odszukać Twój półwysep, ale zatonął w miejscowym smutku.

Pali się, pali mój strach, strach zrodzony, aby nieść pociechę i wiarę w jeszcze jednego Boga. Mój aniele stróżu, najwyższa pora, abym cię zwolniła. Wciąż przychodziłeś spóźniony do pracy, w dodatku cuchnąłeś wódką. Skrzydła dawno temu oddałeś do lombardu, nie widzisz się z Bogiem od tysiącleci. Aniele Boży, stróżu mój, daj mi już święty spokój. Aby zapoczątkować nowy świt, oderwę ciało od pościeli i pograżę się w rdzawym oceanie, pośród raf, pośród ludzkich sumień. Baranku Boży, gdzie podziła się czarna owca? No cóż, zostało na dnie szklanki jeszcze kilka wybebeszonych snów, snów, które nigdy, przenigdy nie osiadą na mieliźnie, nigdy nie odpokutują za zatraczone w sobie seledynowe nieba.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

KatarzynaKoziorowska, dodano 23.11.2021 15:50

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.